

20 CzasKultury 6/2014



Niczego

nie urodzić

– obsolety nowoczesności
i zawieszenie
przymusu
(re)produkcji

Andrzej Marzec



Współczesna kultura nie chce płodzić nowości, okazuje się antykonceptyjna w tym sensie, że nie jest w żadnym stopniu zainteresowana tworzeniem nowych systemów oraz utopijnych wizji przyszłości.



Posiadanie potomstwa wiąże się zazwyczaj ze szczęściem, urodzajem i błogosławieństwem, natomiast jego brak jest społecznie postrzegany jako przekleństwo, kojarzy się raczej z niedostatkiem oraz niepowodzeniem. Bezdzielnosc funkcjonuje w kulturze jako synonim egzystencji niepełnej, wybrakowanej, niespełnionej, a przez to również bezcelowej. Można powiedzieć, że stanowi objaw życia bezwartościowego, bezpłodnego, a zatem bezproduktywnego, które okazuje się niewarte przeżycia. Patrząc z tej perspektywy, narodziny dziecka wydają się radosnym, upragnionym i przede wszystkim oczekiwanym wydarzeniem, z jakiego trudno świadomie zrezygnować. Jednak na przekór tej powszechnej, obiegowej opinii chciałbym się przyjrzeć sytuacjom, w których dziecko budzi raczej lęk niż entuzjazm, a sama możliwość jego pojawienia się napętnia mniej lub bardziej uzasadnionym przerażeniem. Postaram się również wskazać na powody, dla których możemy chcieć się uwolnić od pragnienia posiadania dzieci oraz odpowiedzieć na pytanie, dlaczego narodziny we współczesnej kulturze mogą się łączyć z poczuciem zagrożenia, a nawet wyzysku i być związane raczej ze śmiercią niż z upragnionym nowym życiem.

Mesjanizm – urodzić własne zbawienie

Narodziny oznaczają przede wszystkim przybycie nowo narodzonego, a zatem przyjście na świat kogoś, kto jeszcze nigdy w nim nie zaistniał; wskazują tym samym na pewną radykalną nowość, wiążą się również z nadzieją na upragnioną zmianę. Nie bez powodu się mówi, że dzieci są naszą przyszłością, gdyż odnoszą się bezpośrednio do tego, co jeszcze się nie wydarzyło, i są tym, co dopiero nadejdzie. Skoro przybysz może być naszym przyjacielem lub wrogiem, nieść ze sobą śmierć lub życie, pojawia się pytanie: w jaki sposób interpretować fakt narodzin oraz jak przyjąć gościa, który do nas przychodzi?

Jacques Derrida ujawnia mesjańskie nastroje oczekiwania związane z narodzinami, odwołując się do znaczenia słowa *salut*, jakim Francuzi posługują się zazwyczaj przy powitaniu¹. Wyrażenie to nie tylko wykorzystywane jest podczas powitań, ale oznacza również 'ocalenie' oraz 'zbawienie'. Zaobserwowaną przez Derridę wieloznaczność *salut* można oddać w języku polskim jako pozdrowienie niosące ze sobą jednocześnie uzdrowienie. Radość ze spotkania innej osoby wiąże się w tym wypadku nie tylko z chęcią jej poznania czy też spędzenia z nią czasu, lecz także z nieodpartym pragnieniem bycia przez nią wybawionym. Jednym słowem, witając (*salve!*) przybysza na swojej drodze, wierzymy w to, że ten, kto się rodzi, przychodzi na świat, czyli pojawia na horyzoncie, jest jednocześnie naszym zbawicielem (*salvator*). W podobny sposób postrzegamy również przyszłość (*future*), łącząc z jej nadejściem niczym nieuzasadnione, wielkie nadzieje na spełnienie naszych planów oraz oczekiwań, jakie

¹ Zob. J. Derrida, *Rogues: Two essays on reason*, przekł. P.-A. Brault, M. Naas, Stanford 2005.

w niej wcześniej pokładaliśmy. Pozdrowienie, a zatem powitanie nowo narodzonego, obojętnie, czy mamy na myśli konkretną osobę, czy też po prostu kolejny dzień, jest w tym wypadku równoznaczne z żądaniem uzdrowienia, wyzwolenia ze śmiertelnej, ludzkiej kondycji. Na tym między innymi polega stawianie warunków temu, co przychodzi, oraz mesjańskie oczekiwanie nadejścia dnia, który wreszcie położy kres upływającemu czasowi oraz historii.

Tymczasem wspomniana nadzieja na uzdrowienie jest pozbawiona jakichkolwiek podstaw, niesie ze sobą zbyt wiele oczekiwań rodzących nieuniknione rozczarowanie. Nikt nie jest w stanie nas uratować, jeżeli przyjście mesjasza, obiecane zbawienie ma polegać na wyjęciu jakiegokolwiek bytu z materialnej rzeczywistości wciąż upływającego czasu. Należy zatem odróżnić narodziny, czyli powitanie tego, który przychodzi, od oczekiwania iluzorycznego ratunku, zbawienia, jakie on ze sobą niesie. Wówczas mielibyśmy do czynienia z dwoma zupełnie różnymi rodzajami przywitania. Pierwsze z nich to pozdrowienie niosące w sobie uzdrowienie. Jego doskonały przykład możemy znaleźć w pierwszych słowach chrześcijańskiej modlitwy *Zdrowaś Maryjo (Ave Maria / Salve Regina)*, nazywanej również pozdrowieniem anielskim. Jej źródło stanowi ewangeliczna scena, gdy Maryja zostaje nawiedzona przez istotę nieśmiertelną, czyli archanioła Gabriela, który pozdrawiając ją, jednocześnie przynosi wiadomość o narodzeniu niosącym zbawienie². Słowa anielskiego powitania mają moc uobecniania, zwiastują przyszłość (*future*), na którą jesteśmy skazani, jej przyjścia nie jest w stanie nic przerwać

ani powstrzymać; dziecko musi się narodzić, a obietnica wypełnić. Oczekiwanie to adwent, czyli okres wyczekiwania na to, co nie tylko z całkowitą pewnością przyjdzie, lecz również jest jak najbardziej spodziewane, przewidziane, określone i zdefiniowane.

Urodzić własną śmierć

Zupełnie innym rodzajem powitania, przyjęcia i jednocześnie reakcją na narodziny jest pozdrowienie bez uzdrowienia³. Rezygnacja z nadziei na wybawienie staje się niezbędnym warunkiem ludzkiej egzystencji, traktowanej w tym wypadku jedynie jako przeżycie (*survie*), czyli zaledwie życie, które jest osłabione, kruche, permanentnie nadwyrężone i zagrożone śmiercią. Ten, kto przychodzi, okazuje się już zawsze skończony, materialny i śmiertelny, dlatego w żaden sposób nie jest w stanie nas zbawić. Jeśli zatem spotykamy na swojej drodze nowo narodzonego, jest to spotkanie dwóch śmiertelnych osób, a nie istoty boskiej i ludzkiej. W związku z tym nasze powitanie nie wyraża wcale oczekiwania nieśmiertelności, lecz raczej nadzieję na tymczasowe przetrwanie; moje *salut* oznacza zawsze: jeszcze żyję.

Okazuje się, że żaden przybysz nie jest w stanie ocalić nas od naszej własnej śmierci, która jest nieprzechodnia. Substytucja, czyli ofiara zastępcza, nie istnieje, dlatego nawet jeżeli ktoś zdecydował się poświęcić za mnie swoje życie, odracza jedynie chwilowo moment mojego odejścia ze świata. Derrida twierdzi, że „nikt nie może umrzeć za mnie, jeśli «za mnie» oznacza zamiast mnie”⁴. Dar śmierci okazuje się niezbywalny, nieprzekazywalny, czyni nas

² „Oto poczniesz i porodzisz Syna, któremu nadasz imię Jezus. Będzie On wielki i będzie nazwany Synem Najwyższego, a Pan Bóg da Mu tron Jego ojca, Dawida. Będzie panował nad domem Jakuba na wieki, a Jego panowaniu nie będzie końca” (Łk 1 26–38).

³ Zob. M. Häggglund, *Radical atheism. Derrida and the Time of Life*, Stanford 2008, s. 128–133.

⁴ J. Derrida, *The Gift of Death*, przekł. D. Wills, Chicago & London 1995, s. 41.

przez to jednostkowymi, wyjątkowymi i niezastąpionymi, co również oznacza, że nikt nie jest w stanie zastąpić nas w umieraniu. Nie możemy mówić wobec tego nigdy o całkowitym wybawieniu, lecz jedynie o odroczeniu ciężącego na nas wyroku śmierci.

Należy w tym momencie podkreślić, że każdy nowo narodzony z punktu widzenia upływającego czasu przychodzi zawsze na świat po nas i jest naszym zastępstwem. Dlatego urodzić dziecko, czyli własnego następcę, to nie tylko powitać własną śmierć, ale również ją zaakceptować i przyspieszyć, z pełną świadomością zgodzić się na własne odejście – dać się zastąpić w życiu⁵. Do tej pory mogliśmy być przekonani o tym, że narodziny są radosnym, pozytywnym wydarzeniem, związanym z nadzieją na zmianę. Jednak nikt nie wspominał, że zmiana dotyczy nas samych, gdyż rodzi się po to, aby zostać wypartym, przeżyтым i zastąpionym przez to, co narodzone. Dziecko postrzegane w ten sposób jawi się nam jako niosące zagrożenie i unicestwienie; jeśli nas nie zniszczy, to w najlepszym wypadku będzie jedynie świadkiem naszej śmierci. Wizja rodziców pokonywanych przez swoich potomków nie jest czymś obcym europejskiej kulturze. Wystarczy wspomnieć historię Kronosa (Κρόνος), który przeczuwał, że zostanie pozbawiony władzy przez jedno ze swych dzieci, podobnie jak on sam wcześniej postąpił z własnym ojcem Uranosem. Greci tytan, pełen uzasadnionych obaw o swoją przyszłość, postanowił zatem zjadać dzieci od razu po urodzeniu, próbując w ten sposób bezskutecznie oddalić czyhający na niego zły los.

⁵ „Nie wolno zapominać, że mnożenie się istot jest solidarne ze śmiercią. [...] pojawienie się nowoprzybytych gwarantuje niejako, że poprzednicy znikną. Jeśli rozmnażanie istot płciowych nie przywołuje natychmiastowej śmierci, to przywołuje ją na dalszą metę”, G. Bataille, *Erotyzm*, przekł. M. Ochab, Gdańsk 2007, s. 100.

Jednak nawet uśmiercając własne potomstwo, czyli nie dopuszczając do wydarzenia się zło-wrogiej obietnicy nadchodzącego jutra, nie był w stanie w żaden sposób pokonać pożerającego wszystko czasu (χρόνος).

Rozmnażanie spełniające funkcję przedłużania gatunku przez wieki wydawało się swoistą biologiczną odpowiedzią na umieranie, było w zasadzie jedynym możliwym sposobem na uzyskanie nieśmiertelności oraz upragnionej ciągłości. Urodzenie dziecka nie tylko pozwalało pozbyć się lęku przed samotnością, ale dawało również bezcenną szansę zobaczenia siebie samego kontynuującego życie w przyszłości. Tymczasem rodzenie podporządkowane w całości uzyskaniu ciągłości gatunku okazuje się jedynie iluzorycznym remedium na nieuniknioną śmierć jednostki. Indywidualną nieśmiertelność można osiągnąć jedynie bez dzieci, a nie poprzez nie, gdyż te wraz z upływającym czasem niosą ze sobą śmierć swoich rodziców⁶. Opuszczenie biblijnego raju było związane przede wszystkim z uwikłaniem w rozmnażanie oraz śmierć, które nie miały miejsca w rzeczywistości sprzed upadku; według tej wizji świata śmierć byłaby nieodłącznie związana z rozmnażaniem lub też z nim równoznaczna.

Obsolety nowoczesności – urodzić się martwym

Wydaje się, że współczesna kultura nie chce płodzić nowości, okazuje się antykonceptyjna w tym sensie, że nie jest w żadnym stopniu zainteresowana tworzeniem nowych systemów oraz utopijnych wizji przyszłości. W ten sposób powstrzymuje się od dręczącej nowoczesność

⁶ „Prędzej czy później rozmnażanie wymaga śmierci tych, którzy płodzą – płodzą tylko po to, by szerzyć unicestwienie (tak jak śmierć jednego pokolenia wymaga nowego pokolenia)”. Ibidem, s. 66.

tragedii rozwoju, zgodnie z którą nowe życie musi zabić to, co stare, aby zrobić miejsce dla swojej pędzącej naprzód egzystencji⁷. Nasza niechęć do przyszłości zasadzać się może na tym, że gdy tworzymy jutro, musimy jednocześnie nie tylko zanegować przeszłość, lecz przede wszystkim uśmiercić teraźniejszość, a tę przecież za wszelką cenę pragniemy ocalić przed unicestwieniem. Rodząc swoją przyszłość, jesteśmy zmuszeni zgodzić się na to, że prawdopodobnie wydarzy się ona już bez naszego udziału i jednocześnie naszym kosztem. Nie stać się rodzicem i niczego nie urodzić oznacza w tym wypadku nie przyczynić się w żadnym stopniu do uobecnienia przyszłości, a tym samym nie zgodzić na umieranie. Jednak lęk przed utratą naszej teraźniejszości nie jest jedyną przyczyną, dla której tak wielką niechęcią darzymy świat jutra; innym, nie mniej ważnym powodem jest rozczarowanie, jakie ze sobą niesie.

Przyszłość nie jest już tym, czym do tej pory mogła nam się wydawać, a jej zniknięcie czy też zgubienie, stracenie z oczu albo poniechanie rozgrywa się przynajmniej na dwóch płaszczyznach. Utracona przyszłość w kontekście rozważań Franco „Bifo” Berardi będzie oznaczać stan, w którym zostaliśmy rozczarowani jej obietnicami, straciliśmy na nią apetyt, a wiara w tworzenie lepszego i bardziej doskonałego jutra jest już niemożliwa⁸. Natomiast jeśli zdecydujemy się spojrzeć w przyszłość z egzystencjalnej perspektywy Martina Heideggera, jej nadejście wiąże się bezpośrednio z moją śmiercią, czyli nieprzekraczalną granicą, a zatem z porażką jednostki i zatrzymaniem jej wędrówki

naprzód⁹. Utopijne projekty nowoczesności nigdy nie zostały zrealizowane i uobecnione, a zatem wydane na świat, dlatego są nie tylko świadectwem rozczarowania, ale przede wszystkim raczej wyrazem niespełnionych, a zatem raz na zawsze uśmierconych oraz utraconych przedwcześnie nadziei pokładanych w przyszłości.

Okres ciąży nie bez powodu nazywa się niekiedy stanem bycia przy nadziei, gdyż jest to czas wyczekiwania na uobecnienie, zaistnienie i powołanie do życia naszych własnych projekcji, marzeń oraz oczekiwań. Jeszcze innym zwrotem, który jasno wskazuje na silne pragnienie przewidywalności oraz kontroli narodzin, jest „spodziewać się dziecka”. Gdybyśmy tylko mogli to zrobić, najchętniej wpłynęlibyśmy na to, w jaki sposób dziecko będzie wyglądać oraz kim zostanie w przyszłości. Moment zajęcia w ciążę bywa najczęściej związany z zaskoczeniem, lękiem i obawami, jednak gdy już stanie się faktem, wówczas chcemy za wszelką cenę wykluczyć czyhające na nas niespodzianki. Pragniemy urodzić kogoś, kto będzie odpowiadał naszym wyobrażeniom, i w ten sposób dajemy życie swoim fantazjom. Tymczasem im mocniej się spodziewamy i przygotowujemy, próbując sami nadać kształt oraz uformować to, co dopiero nadejdzie, tym bardziej jesteśmy skazani na rozczarowanie. Nawet samo nadanie imienia, czyli choćby pozorów sensu bądź znaczenia, okazuje się próbą zdeterminowania losu dziecka, wskazuje na chęć zarysowania oraz określenia w ten sposób jego drogi rozwoju. Jeśli same narodziny utożsamiamy z uobecnieniem i spełnieniem naszych wizji, gdyż zawsze spodziewamy się jakiegoś konkretnego dziecka, wówczas czeka nas nieunikniony zawód.

⁷ Zob. M. Berman, **Wszystko co stałe, rozplywa się w powietrzu: rzecz o doświadczeniu nowoczesności**, przekł. M. Szuster, Kraków 2006.

⁸ Zob. F. Berardi (Bifo), **After the Future**, Edinburgh, Oakland, Baltimore 2011.

⁹ Zob. M. Heidegger, **Bycie i czas**, przekł. B. Baran, Warszawa 1994.

Sam proces rodzenia przypomina raczej zmuszenie do zaistnienia pewnej konkretnej idei, czy też wymuszenie jakiejś wizji przyszłości. Z tej perspektywy właściwie każda ciąża byłaby w jakiś sposób obumarła, gdyż jest w stanie przynieść jedynie rozczarowanie i kres pokładanym w niej nadziejom. Zatem rodzić się martwym oznacza zawieść oczekiwania swoich rodziców, chybiać, nie trafić do założonego z góry przez nich celu oraz nie móc sprostać ich wygórowanym wymaganiom. Utracone i pogrzebane przyszłości, żywe w drugiej połowie XX wieku, przypominają właśnie obsolety (*graviditas obsoleta*)¹⁰, czyli tak zwane ciężce obumarłe. Metafora ta wydaje się o tyle trafna, gdyż w niesamowity sposób łączy w sobie element bycia przy nadziei (ciąży) oraz nieuniknionego – w tym wypadku rozczarowania (obumierania). Budzi podobnie sprzeczne nastroje, jakie zostają wywołane przez sformułowanie „utracona przyszłość”¹¹. Ciężca obumarła staje się dziwnym połączeniem optymistycznego oczekiwania oraz żalu połączonego z zawodem, przy czym każde z tych uczuć jest jednako mocno i intensywne.

Obsolety nowoczesności są zatem niespełnionymi, utopijnymi marzeniami konstruktorów, nadziejami naukowców oraz planami myślicieli zbyt mocno ufających w obietnicę lepszego jutra, czy też wierzących w uwalniającą moc przyszłości, związanej nierozdzielnie z postępem i wyzwoleniem. Ich pełnym rozmachem projektom nie tylko nie udało się nigdy spełnić, wydarzyć i zaistnieć, lecz często także zostawały uśmiercone, zanim na dobre zdołały opuścić głowy własnych rodziców. Alternatywne wizje przyszłości wraz z nadziejami na ich

uobecnienie zostały porzucone i przez długi czas spoczywały pochowane w przepastnych archiwach, na cmentarzach idei. Dopiero właściwie współcześnie, za sprawą nasilenia się retrofuturystycznych fascynacji, nieudane i zduszone w zarodku, często nierealistyczne projekty mogą ponownie ujrzeć światło dzienne. Powracają w formie szczątkowej, pozbawione apetytu na zaistnienie oraz pierwotnych ambicji, jeśli chodzi o ich realizację. Nie posiadają żadnej sprawczości, spełniają raczej czysto estetyczną funkcję ornamentu, rozsiewając jednak przy tym wokół siebie dziwne poczucie nostalgii za bezpowrotnie utraconą możliwością przyszłości.

Wysać z mlekiem matkę

Antykoncepcyjność współczesnej kultury, czyli jej niechęć do płodzenia, tworzenia przyszłości i tego, co nowe, w przeważającej mierze została wzmocniona poprzez rozczarowanie utopijnymi obietnicami oraz zbyt wielkie nadzieje, jakie pokładaliśmy w świecie jutra, który nie sprostał naszym oczekiwaniom. Tymczasem lęk związany z reprodukcją oraz zjawisko powstrzymywania się od niej mogą być spowodowane również świadomym oporem, związanym z pragnieniem zawieszenia przymusu produkcji. Jednym z filmów, który stara się zmierzyć z zagadnieniem macierzyństwa jako produkcji, jest *Huba* (2014) w reżyserii Anki i Wilhelma Sasnalów. Tytułowa huba to potoczna nazwa grzybów nadrzewnych, jednak w tym wypadku oznacza przede wszystkim organizm pasożytniczy, który nie jest w stanie funkcjonować bez swojego żywiciela. Ten nie zostaje co prawda uśmiercony przez pasożyta, lecz jest konsekwentnie osłabiany, dręczony przez jego nieodwołalną obecność. Postępujące wyniszczanie wynika między innymi z tego, że żywiciel zmuszany jest w tej sytuacji do nadprodukcji, aby utrzymać siebie oraz swojego niepokojącego towarzysza życia. +

¹⁰ Zob. J. Bargielska, *Obsoletki*, Wołowiec 2010.

¹¹ Zob. M. Fisher, *Ghosts of my Life. Writings on depression, Hauntology and Lost Futures*, Winchester 2014.

Nietrudno odgadnąć, że posługując się metaforą huby, Sasnalowie chcą sportretować i jednocześnie opisać zjawisko macierzyństwa, czyli niezwykle bliskiej, lecz równie trudnej relacji wzajemnego wchłaniania oraz pochłaniania, wysysania z siebie soków. Noworodek przyssany do piersi matki, całkowicie zależny od innego, zewnętrznego organizmu, budzi w tym wypadku jednoznaczne skojarzenie z nadrzewnym pasożytem. W świecie przedstawionym przez reżyserów wszystko jest skoncentrowane wokół karmienia, nieustannego przepływu życiodajnych treści i odżywiania, czyli powolnego narastania, które zawsze odbywa się kosztem innego. Drzewo nie potrafi własnymi siłami pozbyć się huby, jest w pewien sposób skazane na trudne współistnienie z zależnym od niego organizmem, dlatego może jedynie znosić jego uciążliwe i narzucone towarzystwo. Reżyserzy, posługując się taką metaforą, problematyzują w ten sposób ciężar macierzyństwa, od którego niezwykle trudno się uwolnić. Czy w takim razie można w ogóle przeciwstawić się pasożytniczej działalności i uchronić przed wysysaniem z siebie soków?

Uwolnienie się od pasożyta, który w tym wypadku wydaje się nieodłączną częścią nas samych, okazuje się niezwykle trudne. Jednym ze sposobów, na jaki decyduje się matka, główna bohaterka filmu, jest konsekwentne niedożywianie „huby”, odmowa karmienia. Za tę decyzję zostaje skarcona przez pielęgniarkę, badającą rozwój dziecka w przychodni. Jednak reżyserzy starają się pokazać, że każdy organizm może wieść mniej lub bardziej pasożytniczą egzystencję, jest na swój sposób hubą. W filmie pojawiają się ujęcia pasażerów autobusu, którzy przyczepiają się do poręczy, czy też przyszczone twarze kibiców wyścigów żułowych. W obrazie Sasnalów śledzimy nie tylko postać matki, która ewidentnie źle znosi swoje macierzyństwo, próbując bezskutecznie uwol-

nić się od przyssanego do niej dziecka. Pojawia się w nim również paralelna postać starszego mężczyzny, który także okazuje się żywicielem. Gdy w jednej ze scen wykonywane jest badanie USG jego brzucha, można się zastanawiać: co takiego jest w stanie urodzić starzec? Oglądamy przeraźliwie chude ciało, zniszczone przez inne, obce życie, czyli długotrwały niekontrolowany rozrost komórek rakowych, które karmią się nim i jednocześnie stanowią z mężczyzną nierozzerwalną, lecz przerażającą jedność. Nie jesteśmy w stanie ich od siebie odróżnić i oddzielić; jeżeli zdecydujemy się uśmiercić raka, wówczas zginie również jego gospodarz. Dwoje bohaterów *Huby* łączy moment skazania na śmierć poprzez udzielenie własnym kosztem egzystencji innemu organizmowi, który żerując na nich, jednocześnie stopniowo pozbawia ich życia. Zostają przez reżyserów utożsamieni z fabryką, gdyż jej jedynym zadaniem i treścią życia jest produkowanie, wydzielanie, służenie innym organizmom. Czy jest wobec tego jakikolwiek sposób, aby powstrzymać się od (re)produkcji?

Bohaterowie obrazu Sasnalów uwikłani są w cykl (re)produkcyjny, którego nie sposób odwrócić, a ten przyprawia ich o zawroty głowy i mdłości. Jedną z ostatnich scen filmu przedstawia fabrykę oraz jej kominy, które zamiast emitować produkcyjne gazy do atmosfery, wchłaniają je z powrotem do środka fabryki, jak gdyby (re)produkcję można było cofnąć. To samo pragnienie odwracalności pojawia się w momencie, gdy matka sprząta odkurzaczem mieszkanie i niebezpiecznie przesuwa ssawką wokół dziecka – wówczas ma się wrażenie, że chce pochłoniąć i wessać je do środka. *Huba* jedynie wskazuje na ludzkie marzenie, które zostaje spełnione i zrealizowane w *Swobodnym opadaniu* (2014, reż. György Pálfi). Jedną z etiud składających się na ten dziwny węgierski film przedstawia lekarski gabinet, w którym

dokonywany jest zabieg wchłaniania dzieci, wędrujących z powrotem do łona własnych matek i rozpuszczających się w nim.

Narodziny wydają się czynnością nie tylko niebezpieczną i ryzykowną, lecz również nieodwracalną. Mesjanistyczne nadzieje i obietnice nieśmiertelności pokładane w nowo narodzonych okazują się niemożliwe do spełnienia. Ci, którzy przychodzą na świat, nie mogą nas zbawić, stanowią raczej niezaprzeczalny znak naszego nieodwołalnego przemijania. Współcześnie poruszamy się wśród obumarłych wizji lepszego jutra, które nie jest w stanie nadejść i nas zaskoczyć, a my sami nie jesteśmy żadną miarą zainteresowani powoływaniem go do życia. Rodzenie przyszłości odbywa się nie tylko naszym kosztem, lecz również kosztem dnia dzisiejszego, który zostaje nieodwołalnie zniszczony i wchłonięty przez jutro. Skoro odwrócić bieg rzeczy i cofnąć upływający czas udaje nam się jedynie w rzeczywistości filmowej, należy się przynajmniej zastanowić nad możliwością zawieszenia (re)produkcji i pomyśleć o tym, co by się stało, gdyby świadomie zdecydowali się niczego nie urodzić. •

